

„Śnieżna kula” (17)

Minęły wakacje. Z dniem pierwszego września powróciliśmy do szkoły. Teraz chodziłem do siódmej klasy. Już od pierwszych dni starałem się odpowiednio zachowywać, by mieć w tym roku świadectwo z paskiem i wzorowe zachowanie. W każdej z poprzednich klas coś mi się przydarzało i zwykle na koniec roku miałem maksymalnie wyróżniające. Tym razem miało być inaczej. Postanowiłem unikać kłopotów i być przykładnym uczniem. Uczyłem się bardzo dobrze. Nigdy nie miałem z tym problemów, pomimo braku pomocy naukowych takich, jak encyklopedie, czy słowniki. Gdyby chodziło o samą naukę, byłbym prymusem. Niestety moje zachowanie wpływało w znaczący sposób na końcowe oceny.

W pierwszej klasie prostowałem ławkę, w drugiej przedrzeźnialiśmy jakąś starszą kobietę z lekkim upośledzeniem umysłowym i biegaliśmy krzycząc wokół jej domu. W kolejnej rozbiłem koledze głowę kamieniem, i jego matka poskarżyła się dyrektorce. W czwartej klasie dałem po pysku dwóm koleżankom, z młodszej klasy, bo obraziły moją, ówczesną sympatię Małgorzatę. W piątej podparłem drzwi do wychodka wielkim kłocem drewna, żeby dziewczyny nie mogły z niego wyjść i się spóźniły na lekcje. Pech chciał, że w tym wychodku siedziała jedna z nauczycielek. W szóstej wybiłem ludziom okno, gdy mój kamień nie trafił w jabłko i przeleciawszy przez całe drzewo, wpadł do mieszkania, wybijając jeszcze szybę w kredensie i rozbijając szklankę. Zawsze starałem się być grzeczny, ale jakoś nie wychodziło. Sam nie wiem dlaczego.

Teraz musiałem się bardzo pilnować, gdyż planowany był wyjazd do Warszawy na trzy dni. Bardzo chciałem pojechać, ale warunkiem było mieć nienagane zachowanie. Udało się, wytrzymałem. Nie zmalowałem niczego złego i pojechaliśmy do stolicy. Co innego w Warszawie, ale to już inna historia.

Nasza stara szkoła stała się zbyt ciasna dla coraz liczniejszych klas i przez wakacje oddano do użytku nowe skrzydło. Budynek miał dwie kondygnacje, parter i piętro. Na parterze wyposażono kilka klas i odbywały się w nich lekcje. Piętro było niewykończony bez drzwi i okien. Tak samo klatka schodowa. Nad wejściowymi drzwiami do tego budynku był otwór na okno, ale okna nie było.

W zimie pojawiły się obfite opady śniegu. Wychodząc na przerwy toczyliśmy bitwy na śnieżki, albo nacieraliśmy twarze kolegów i koleżanek śniegiem. To były znane i mało zajmujące zabawy. Trzeba było wymyślić coś lepszego.

Na jednej z przerw zaczęliśmy lepić bałwana, ale czasu nie wystarczyło na kilka kul. Utoczyliśmy z kolegami jedną, ale za to wielką śnieżną kulę i wytaszczyliśmy ją na półpiętro klatki schodowej nowego budynku szkoły.

W naszych głowach pojawił się znakomity pomysł. Ową śnieżną kulę na następnej przerwie zamierzaliśmy zrzucić na wychodzące z budynku koleżanki. Niecierpliwie czekaliśmy na dzwonek. Kiedy tylko wybrzmiał, pędem udaliśmy się na półpiętro, aby zrealizować nasz pomysł. Czekaliśmy, aż drzwi otworzą się i będziemy mogli zepchnąć naszą „śnieżkę” na baby.

Koleżanki jednak wypatrzyły nas i nie zamierzały wychodzić na zewnątrz. My jednak tego nie wiedzie-

liśmy, więc kiedy tylko drzwi otwały się, niezwłocznie zepchnęliśmy śnieżną kulę w dół, nie wiedząc na kogo. Szybko okazało się, że pod naporem śniegu ugięła się sama pani Dyrektor. Dziennik i książki poleciały na bok, a pani Kapusta zaryła nosem w śnieg. Wyglądała strasznie śmiesznie, kiedy próbowała się pozbierać i znowu upadała. Uciekliśmy z miejsca przestępstwa i liczyliśmy na to, że nikt nas nie widział. Byliśmy wręcz pewni, że nie zobaczyła nas dyrektorka, bo i jak, skoro była do nas odwrócona plecami. Poza tym chyba ją przyćmiło. Oczywiście z pomocą dyrekcji pospieszyły życzliwe koleżanki i wskazały palcem wszystkich uczestników zabawy. Znowu obniżyli mi zachowanie i wezwali do szkoły rodziców. Nawet się tym nie przejąłem, bo i tak bym nie miał tego świadectwa z paskiem za Warszawę.

W domu znowu lanie, ale jakoś już mnie to nie ruszało. Miałem żal do rodziców za ostatni tydzień przed wyjazdem do Warszawy i coraz częściej się buntowałem.

Marzyłem, żeby jak najszybciej opuścić dom.

„Rzut ziemniaczkiem” (18)

Jesienią po wykopkach na polach zostawały drobne ziemniaki. Leżały często do zimy, albo do jesiennej orki. Nikt ich nie zbierał. Widać nikomu nie były potrzebne. Nam też nie. Kiedy przyjechał do mnie kuzyn Roman z Raciborza, wymyśliliśmy znakomitą zabawę. Ucieliśmy długie wiklinowe patyki i zaostrzyliśmy ich cieńsze końce, tak aby łatwo nabijać na nie małe, drobne ziemniaczki i wysyłać je w siną dal. Im dalej, tym lepiej. Swego rodzaju zawody prowadziliśmy, wracając z pola do domu. Raz Roman rzucał, raz ja i obserwowaliśmy lot ziemniaczka, fascynując się osiąganymi odległościami. Roman był znacznie cięższy ode mnie i wyższy, co nie było bez znaczenia podczas rzutów. Musiałem się nieźle starać, żeby mu dorównać. Dochodziliśmy już do domu, w kieszeniach zostało nam jeszcze po kilka ziemniaczków. Nie było sensu iść z nimi do domu. Trzeba je było wyrzucić. „Wybijemy gościowi okno?” zapytałem Romana, doskonale zdając sobie sprawę z dzielącej nas odległości. Było około pięćdziesięciu metrów. Nigdy nie udało mi się rzucić ziemniaczkiem na taką odległość. Nabiałem ziemniaczka na wiklinowy kij, zamachnąłem się i rzuciłem w kierunku domu sąsiada. Już w chwili rzutu wiedziałem, że to będzie daleko, ale nie przypuszczałem, że w samo okno. Brzęk tłukącego się szkła utwierdził mnie jednak w przekonaniu, że to był mój rekord. Niechlubny, ale rekord. Byłem pod wrażeniem. Kuzyn zwał i pozostałem sam. Sąsiad niebawem przyszedł do naszego domu i zażądał naprawienia szkody. Próbowałem się wyprzeć, ale nie było szans. Zarówno sąsiad Tadeusz, jak i mój ojciec widzieli naszą zabawę i w ciemno przyjęli, że to nasza sprawka. Nie mogli jednak wskazać jednoznacznie, którego z nas to zasługa. Upiekło mi się, bo przecież Romana ojciec nie mógł ukarać, a skoro nie miał pewności, to i mnie odpuścił. Dał sąsiadowi kilka złotych na nową szybę i obiecał, że się z nami porachuje później. Nic takiego nie miało miejsca. Dobra zabawa przyniosła zły skutek, a przecież nie miało tak być.

„Wściekle jabłka” (19)

Wspominałem już wcześniej o rozbitej szybie u sąsiada. Nie była to jednak ani moja pierwsza, ani ostatnia. Pierwszą, jaką udało mi się wyszkląć, była szyba w moim własnym domu. Nie miałem z kim pograć w piłkę nożną, więc odbijałem piłkę wykonaną z gumy, bo prawdziwej „biedronki” nigdy nie miałem, o ścianę komórki pod schodami. W komórce tej było wyjmowane okno w celach załadunku węgla niezbędnego do ogrzewania domu. Przez dzień dzienne światło wpadało przez to okno do komórki i oświetlało ją. Jedno małe okno i duża murowana ściana. Trzeba mieć pecha, żeby trafić właśnie w nie. Mnie się to udało już za pierwszym razem. Złapałem w ręce piłkę i pobiegłem kopać z dala od domu, żeby nie było na mnie. W końcu szyba sama mogła się wybić. Moje zabiegi i tłumaczenia nie były chyba wystarczająco przekonujące, bo mi nie uwierzyli. Wartość szyby odczułem na własnym ciele. Potem ten ziemniaczek, aż w końcu prawdziwe osiągnięcie. Trzy sztuki za jednym razem.

W naszej szkole powstał SKS – szkolny klub sportowy promujący zdrowy tryb życia. Były dwie sekcje: piłki nożnej i lekkiej atletyki. Ja grałem w piłkę.

Zajęcia naszej sekcji odbywały się dwa razy w tygodniu po lekcjach. We wtorki i piątki chodziliśmy na boisko LKS Strażak Rączna i odbywaliśmy treningi pod czujnym okiem naszego wufisty Zdzisława Gui. Po treningach całą grupą przechodziliśmy do centrum wsi, gdzie często w sklepie spożywczym kupowaliśmy coś do picia i ćwiartkę chleba na posiłek.

Po jednym z takich treningów przechodziliśmy obok małego domku nad rzeczką. Mieszkał tam kolega mojego ojca z czasów szkolnych Czesław Poprawa wraz z rodziną. Obok tego domu rosła wysoka jabłoń rodząca duże słodkie jabłka. Ktoś wpadł na pomysł – „Idziemy na jabłka?”

Idziemy, oczywiście. Poszliśmy, koledzy zabrali jakieś patyki, żeby mieć czym strącać owoce z drzewa. Nikt nam nie przeszkadzał. Rozzuchwaleni nieobecnością gospodarza strącaliśmy kolejne jabłka. Nasze patyki pozatrzymywały się jednak pomiędzy gęstymi gałęziami. Zaczęliśmy więc rzucać kamyczkami. Stojąc całą gromadą na drodze, celowaliśmy w drzewo. Mój klasowy kolega Janusz rzucił kamieniem tak, że ten przeleciał przez drzewo i odbił kawałek tynku z elewacji budynku.

„Ale bym był wybił szybę” - powiedział. Jeszcze słyszałem jego głos, kiedy mój kamień przelatował przez koronę drzewa. Nie odbił się od żadnej gałęzi, nie zatrzymał, przeszedł idealnie, wybijając szybę w małym oknie. Na dźwięk tłuczonego szkła wszyscy poderwaliśmy się do ucieczki. Po kilkudziesięciu metrach zwolniliśmy i zaczęliśmy iść w kierunku sklepu. Nawet nikt z nas nie zwrócił uwagi na biegnącego przez rzeczkę mężczyznę. Dopiero kiedy krzyknął tuż za nami „Który mi wybił szybę?” odwróciliśmy się energicznie. „To on” - odezwał się Kazimierz. Facet złapał mnie za rękę i poprowadził do swojego niedużego domu. „Patrz, patrz, co zrobiłeś” – wołał.

Rozejrzałem się. Wpadający przez okno kamień rozbił jeszcze szybę w kredensie i stojącą w nim szklankę. Pewnie od kompletu, bo gość, się mocno sierzdził, jak by mu na niej wyjątkowo zależało. Obok kredensu stał jakiś dziadek, pewnie ojciec właściciela i w trzęsącej ręce trzymał kubek z jakimś napojem, chyba z mlekiem.

„No, ktoś miał niezłego cęla” – powiedziałem i się uśmiechnąłem. Moja pewność siebie i bezczelne za-

chowanie zbiło z tropu krzykliwego mężczyznę. „Jak to ktoś, przecież wskazali na ciebie”. Wyczułem niepewność w jego głosie i dodałem „No tak, ale to ten wybił szybę, co na mnie wskazał, na pewno. Kto mądry by się przyznał, jak może obwinić innego?”. Człowiek stracił rezon i wypuścił mnie. O wszystkim jednak doniósł do szkoły i po raz kolejny obniżono nam zachowanie. Z racji tego, że wszyscy po kolei obwiniali innych, nie udało się jednoznacznie wskazać jednej osoby odpowiedzialnej za to zdarzenie. Wszyscy zatem ponieśliśmy solidarnie karę. Szybę wprawił ojciec Janusza, bo w tej grupce było aż trzech braci Banachów: Stanisław, Janusz i Ryszard. Oprócz tego oni mieszkali najbliżej miejsca zdarzenia. Wydawało się, że to koniec moich kłopotów, ale nie do końca.

Po mniej więcej trzech miesiącach mój ojciec przejeżdżał na rowerze obok tego małego domku nad rzeczką. Wypatrzył go nasz gospodarz, zatrzymał i ze szczegółami opowiedział mi całą historię. Zasugerował mojemu ojcu, że być może nie wie, ale ma syna bandytę i kłamcę. „Nie dość, że wybił mi okno, to jeszcze bezczelnie kłamał, że to zupełnie ktoś inny”. „Wstyd”.

Nie spodziewałem się niczego złego, gdyż nie wiedziałem, że tata spotkał Czesława i że ten mu o wszystkim opowiedział. Ojciec wszedł do domu, jak gdyby nigdy nic, poszedł do kotłowni i za chwilę wrócił, by wyróżnić mi w łeb. Potem trzymanym w ręce kablem od maszyny elektrycznej zaczął mnie okładać i krzyczeć „ty bandyto”, „zgnijesz w kryminale”. „Ja za tobą nie będę świecił oczami przed ludźmi”.

Skojarzyłem fakty.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Janusz Rosek, dodano 20.06.2024 20:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.